

"O Liść Pęty"

Ogólnopolski Konkurs Poetycki
im. Władysława Broniewskiego

edycja XXIX

2017

Ogólnopolski Konkurs Poetycki
"O Liść Dębu"

Konkurs zorganizowano pod patronatem
Andrzeja Nowakowskiego
Prezydenta Miasta Płocka

Ogólnopolski Konkurs Poetycki „O Liść Dębu”

XXIX edycja Ogólnopolskiego Konkursu Poetyckiego
im. Władysława Broniewskiego „O Liść Dębu”
sfinansowana została ze środków
Urzędu Miasta Płocka

**XXIX edycja Ogólnopolskiego Konkursu Poetyckiego
im. Władysława Broniewskiego**

**„O Liść Dębu”
Wiersze nagrodzone**

Książnica Płocka
im. Władysława Broniewskiego
Płock 2017

Organizator konkursu i wydawca tomiku wierszy nagrodzonych:

Książnica Płocka im. Władysława Broniewskiego w Płocku

Projekt okładki i opracowanie graficzne: Dorota Zalewska

Opracowanie redakcyjne: Ewa Luma

Korekta: Joanna Kościelska-Krawczyk

Fotografie: prace członków Płockiego Towarzystwa Fotograficznego im. Aleksandra Macieszy prezentowane na wystawie „Mój Płock 2017”

Książnica Płocka jest instytucją finansowaną przez Urząd Miasta Płocka.

ISBN 978-83-88028-91-5

Skład, druk i oprawa: STUDIO Jeden s.c. 24 268 24 41

Poezja jest inna. I jest inna prawda

Jaki pożytek z poezji? Chyba największy ten – że jest inna. Inna niż co? Inna niż większość rzeczy we wspólnej, społecznej przestrzeni wspartej na rusztowaniu języka. Potrzebująca większej uważności niż ta, która wystarcza nam na co dzień. I wymagająca innej – niż ta powszechnie przyjęta - miary, aby ją oceniać.

Gdyby jurorzy – podczas lektury tysiąca wierszy nadesłanych na tegoroczny „Liść Dębu” (ponad dwieście zestawów razy pięć tekstów) – mieli kierować się statystyką oraz normą mówiącą, że najlepsze jest to, co pojawia się najczęściej, ma największy nakład, musieliby nagrodzić wiersze, które z punktu widzenia poetyckiego rzemiosła czy artystycznej oryginalności są zwykłą grafomanią. Podobny werdykt zostałby ogłoszony, gdyby gusta i wskazania oceniających wiersze miały się poddawać tabloidowej emocjonalności, hodowanej w nas przez masowe media albo temu ostremu, zgoła manichejskiemu, podziałowi świata na dobro i zło, który na dobre zapanował w polskim życiu społecznym i politycznym. Ale – jak wynika z werdyktu – poezja jest gdzie indziej.

Nie chodzi, rzecz jasna, o to, by rzeczywistości – tej pospolicie skrzeczącej, trywialnie powszechnej – do wiersza nie wpuszczać. Ani o to, by autentyczne emocje przehandlować za literacką doskonałość, a osobisty ton przeflancować w modną poetykę budzącą uznanie krytyków. Chodzi o to, by sięgać po takie artystyczne narzędzia, które nie tylko nie przystonią, ale tym wyraźniej ukażą świat. Jednocześnie: poetycki i osobisty. Że nie jest to proste, pokazują choćby liczne przypadki z życia patrona naszego konkursu. O autorze znakomitej literackiej frazy „Życie jest diabła warte poza Szopenem, Mozartem” wiemy, że z muzyczną frazą radził sobie gorzej, choć, niestety, z równą pewnością siebie. Aleksander Wat pisał o Broniewskim, że „on nas zamęczał: strasznie źle grał Szopena, ale to strasznie źle, jednak trzeba było słuchać, bo przy tym był bardzo despotyczny jak zawsze”.

Ale dlaczego ja Państwu o tym wszystkim piszę? Dlatego, że laureaci XXIX Konkursu Poetyckiego im. Władysława Broniewskiego swoje zwycięstwo zawdzięczają głównie wierszom dyskretnym i stonowanym, uważnie przypatrującym się rzeczywistości, nieśpiesznym w łatwych ocenach moralnych. Ba, niektórzy z zestawów są frapująco powściągliwi nie tylko pod względem treści, ale także formy – ukrywając wyrafinowanie i poetycką erudycję autora. Zestaw, który zdobył I nagrodę, wprowadza nas w mitologię pa-

mięci, tę osobliwą grę, jaką prowadzi z każdym jego własna świadomość. Trochę za mocno, zbyt despotycznie Autorka próbuje nas rozczulać, emocjonalnie szantażować, zderzając obrazy dzieciństwa z obrazami śmierci, ale inne zderzenie – skrupulatnie fotograficznej pamięci do detali czy magnetofonowej pamięci do słów ze swobodnie szastającą metaforami wyobraźnią – jest już całkiem wysokiej poetyckiej próby. Co więcej: nader sugestywnie oddaje przebieg myśli w dziecięcej głowie. Jak w zakończeniu wiersza 1950. *Igraszki*.

*W wigilię Stachu od Talarów wyrąbuje przeręble i łapie ryby na kiwajkę.
Wtedy akurat padał śnieg i równiuteńko zasypał całe bajorko.
Jak wyciągnęli Stacha, to był całkiem szklany. Błyszczał jak Kaj
z mojej kolorowej książki o królowej śniegu.*

Wiersze zdobywcy II nagrody są, dla odmiany, bardziej syntetyczne niż analityczne, opierając się zazwyczaj na lekko poprowadzonym ciągu skojarzeń i zmierzając ku połączeniu odległych – w czasie, w przestrzeni, w świadomości – zdarzeń w zaskakujące sensory. Czasem wyjściowa metafora czy metonimia bywa może nazbyt ryzykowna, jak powstaniowe asocjacje snute w wierszu 14 *sierpnia*. A już np. wiersz *Kruszenie* – gdzie Autor też ryzykuje, tym razem poetycko majstrując w języku Ewangelii – całkowicie ujmuje konceptem, którym od początkowej frazy „wdychałem chłopięce powietrze byłem kryształowy” prowadzi nas do zakończenia „Boże mój Boże czemuś mnie upuścił”.

Skoro już jesteśmy przy patentach intertekstualnych, to szczególną uwagę warto zwrócić na cykl wierszy nagrodzony Wyróżnieniem Stowarzyszenia Bibliotekarzy Polskich. Pomysł wyjściowy (każdy wiersz „pożycza” czy też „sampluje” tytuł od klasycznego polskiego filmu, ale rozwija się w kierunku całkiem innej, osobistej historii) jest przez Autora kontynuowany z rymotwórczą brawurą i narracyjną swadą. Właśnie sposób narracji, jaka tworzy w każdym z tych pięciu tekstów zwięzłą anegdotę, sprawia, że wyróżniony zestaw to coś więcej niż pokaz kulturowej erudycji czy błyskotliwego warsztatu. Tym bardziej, że forma niekoniecznie da się dostrzec na pierwszy, powierzchowny rzut oka, a treściowe nawiązania też wymagają natężenia trochę innej uwagi niż ta, którą natężamy przy kontakcie z kulturą obdarzoną przedrostkiem pop.

Jak widać, lektura niniejszej antologii jest przedsięwzięciem zdecydowanie różniącym się od kontaktu z informacyjnymi czy rozrywkowymi mediami, a przekaz niesiony przez teksty, które Państwo tu przeczytacie, bywa bardziej złożony i wymagający większej uwagi niż treści z telewizyjnych programów czy politycznych wystąpień. Ale będzie to uwaga hojnie wynagrodzona. Stefan Themerson pisał, że „świat jest bardziej skomplikowany niż nasze prawdy o nim”, więc być może potrzeba dopiero prawd innych, poetyckich, aby nas do świata naprawdę zbliżyć.

Maciej Woźniak

KOMUNIKAT

z posiedzenia komisji konkursowej
XXIX edycji Ogólnopolskiego Konkursu Poetyckiego
im. Władysława Broniewskiego „O LIŚĆ DĘBU”
w dniu 16 października 2017 roku

Jury XXIX edycji Ogólnopolskiego Konkursu Poetyckiego im. Władysława Broniewskiego „O Liść Dębu” w składzie:

Bohdan Urbankowski	– poeta, literat, ZLP OW
Waldemar Smaszcz	– krytyk literacki
Maciej Woźniak	– poeta
Joanna Banasiak	– Dyrektor Książnicy Płockiej im. Władysława Broniewskiego

po zapoznaniu się z 217 zestawami wierszy, na posiedzeniu w dniu 16 października 2017 roku, postanowiło przyznać następujące nagrody i wyróżnienia:

I Nagroda Prezydenta Miasta Płocka „Liść Dębu”

Edyta Wysocka, godło „Ongiś”, z Miastka

II Nagroda

Tadeusz Hutkowski, godło „pipek przy kurku”, z Sochaczewa

III Nagroda

Grzegorz Chwieduk, godło „KATEDRA”, z Kępic

Wyróżnienia

Jakub Bogucki, godło „Kastaniet”, z Wrocławia

Wojciech Roszkowski, godło „cyna”, z Tykocina

Adam Bolesław Wierzbicki, godło „Oczy Beatrycze”, z Dłużka

Wyróżnienie Stowarzyszenia Bibliotekarzy Polskich Oddział w Płocku

Janusz Solarz, godło „Tata Łata”, z Bloomington w USA

Wyróżnienie za wiersz o tematyce płockiej

Miłosz Kamil Manasterski, godło „Tumska róg Kwiatka”, z Łomianek

Nagroda Dyrektora Książnicy Płockiej w kategorii limeryku

Leszek Jaraczewski, godło „FOTO”, z Warszawy

Ponadto jury zakwalifikowało do druku wiersze następujących autorów:

Jerzy Fryckowski z Dębnicy Kaszubskiej, Karol Graczyk z Torunia, Anna Maria Kobylińska z Warszawy, Janusz Koryl z Rzeszowa, Antonina Sebesta z Myślenic, Irena Słomińska z Białegostoku, Agata Wesołowska z Torunia, Ewa Włodarska z Białegostoku.

Organizatorzy konkursu i członkowie Jury gratulują laureatom i zapraszają do udziału w kolejnej edycji konkursu.

Edyta Wysocka

I Nagroda

Prezydenta Miasta Płocka

„Liść Dębu”

1950. Maki

Zapraszam tam, gdzie się urodziłam

Płatki opadły, ale główki jeszcze zielone,
gdy dojrzeją, powyjadamy z nich ziarenka.
Znowu będziemy śmiać się i turlać po trawie,
aż zaśniemy na mokrej łące.
Tylko trzeba uważać na szczypawki i włochate robale,
bo włożą między palce.
I torf wciąż taki grząski jak zgniłe liście po dziadku.
Ale co tam.

Dziadka zanieśli aż za lasek,
a mama powiedziała, że teraz już sobie odpocznie...
Dlaczego? Przecież zawsze był z nami.

Na orzechy można przez mokradła,
na czworakach, po grubych gałęziach,
i trzymać się mocno za ręce.
Kazio ma tylko jedną, drugą urwała mu wojna,
ale się nie boi. Niczego. Nawet ostrego noża.
Wycina nim jakieś białe korzenie i od razu zjada.

Dzisiaj jest czarny wieczór. Na bagnach wyrosła mgła.
Jak dym na łące tego pana, który wypala trawę.
Mama się boi, bo kładka ma dużą dziurę,
a naszego Kazia wciąż nie ma.

1950. Igraszki

Zapraszam tam, gdzie się urodziłam

Pastwisko sięga po same bagna, gdzie czarne bajoro pełne uklejek.
Jak się w nim zaprzeć na kępie i złapać za zwisające łoża, to można
sobie popluskiwać nogami po sam muł, że aż kijanki uciekają śmiesznie.
Najlepiej na bosaka, ale pijawki wpijają się w skórę i to bardzo boli.
Kozłów Józek jest gruby i nie wpada za głęboko.
Nasza Kryśka się z niego śmieje, że tłuszcz lubi pływać.
A krowy tylko skubią młodą trawę, jakby już nic lepszego na świecie nie istniało.
Zimą tu mocno zamarza i można się ślizgać jak kto tylko lubi.
Józek, to kiedyś nawet jeździł na plecach, bo miał kozuch ciepły, gruby,
znaleziony na poniemieckim strychu.
W wigilię Stachu od Talarów wyrąbuje przeręble i łapie ryby na kiwajkę.
Wtedy akurat padał śnieg i równiuteńko zasypał całe bajorko.
Jak wyciągnęli Stacha, to był całkiem szklany. Błyszczał jak Kaj
z mojej kolorowej książki o królowej śniegu.

1950. Jowita

Zapraszam tam, gdzie się urodziłam

Jest jak lalka w różowej sukience. Siedzi w pierwszej ławce, a pani od polskiego powiedziała, że jej imię lśni jak gwiazda. A ja, w domu, w małym lusterku, jak zamknę oczy i zaraz je otworzę, to jestem jak ona. Jowita z lokami. Naprawdę!

Mama mówi, że chociaż Kazio mnie przezywa krótkowłosek, to mam się tym nie przejmować, bo za mokradłami mieszkają bardzo biedne dzieci, które zamiast włosów mają na głowie strupy, a i tak są wesołe.

Raz w naszej klasie też było wesoło. Wtedy, co pani od polskiego uczyła dzieci przedstawienia o królownie. Mnie i Jankę wyznaczyła na żaby, a Jowitę na księżniczkę w złotym diademie.

Mama kupiła nam zielone rajtuzy, żebyśmy ładnie wyglądały.

Ale mały Kazio i tak się z nas wyśmiewał, że ropuchy, ropuchy...

A Jowita tańczyła. I pani dla niej pięknie grała na wielkim fortepianie.

Myśmy skakały z tyłu i się cieszyły, bo pani powiedziała, że jesteśmy tłem dla wielkiej artystki.

1950. Sławek

Zapraszam tam, gdzie się urodziłam

Musiał pić smalec wytopiony z psa,
a jego mama zawsze na wiosnę
obrywała dla niego czubki z sosen,
gotowała je z cukrem,
wyciskała przez szmatkę
i powstawał pachnący syrop.
Czasem dawali mi trochę na łyżeczce.

Wszyscy mówili, że Sławek ma gruźlicę.
Uciekaliśmy za bagna, żeby bawić się razem,
ale nikt nie mógł o tym wiedzieć,
bo mogłam się zarazić.

Jak byłam blada, to pan w fartuchu zbadał,
że też mam zajęte płuca.
I od wtedy już zawsze było mi smutno.

Na zimę zawieźli Sławka gdzieś daleko.
Bo aż w góry.
Tam, gdzie chore dzieci zdrowieją,
ale biała pani powiedziała,
że to już jest o wiele za późno.

1950. Pakulica

Zapraszam tam, gdzie się urodziłam

Zawsze na rozlewisku, jak duża, błotna pajęczyna,
na której słońce przybierało dziwaczne kolory.
Krzesło miała z wyciętą dziurą i wiaderko pod spodem.
Ona w ogóle się nie ruszała. Była jak dziadkowy gnom
ulepiony z bagiennej gliny, co miał chronić od złego naszą kożę.
Ludzie mówili, że stara Pakulica ma chyba ze sto lat,
albo i więcej, bo nikt nie pamiętał jej życia.
Wtedy położyli ją na suchej trzinie i od razu zaczęła
straszyć małe dzieci z bagien, za to, że rzucały w nią kulkami
z bagicznego torfu.
Franek od Borków powiedział, że Stara wcale nie umarła,
tylko zaschła ze starości, dlatego straszy. A ksiądz w kościele
kazał się modlić, bo czy jej ciało żyje, czy nie, to tylko widzi
z nieba sam Pan Bóg.
...Ale, jak był różaniec u Pakułów, to ja widziałam,
że Stara otwiera oczy i grozi palcem.



Piotr Augustyniak

14 sierpnia

zadzwońłem do poety z Warszawy
na pytanie co słyhać
powiedział że już czternasty dzień
walczą a on w kanale na Mokotowie
ja w kanale 55 kilometrów od Warszawy

przeciskamy się przez niepowodzenia i choroby
jak któryś dostanie
cieszymy widokiem pięknych pielęgniarek
przedostajemy z dzielnic nocy w dzień

unikając snajperów z wielkich korporacji
strzałów ludzkiej zawiści
pośrednictwa pracy na wózkach widłowych
spotkania z opancerzonymi suwami
na przejściu dla pieszych stawiamy słowne barykady

Zbyszek co jakiś czas moczy szmatę w benzynie
zapala kolejny pomysł na przeżycie
zamknięty betonowymi ścianami
czasem wymyka się po zakupy
z dwupokojowego kanału w bloku

ja wychodzę z jednorodzinnego otoczonego tujami
przebijam się do centrum po żywność dla rodziny
obaj staramy się z naszych wierszy składać znak Polski
Walczącej o zwykłego człowieka

wbijamy kotwicę w przydomowe trawniki – trwamy
jeśli będzie trzeba
zginiemy jeszcze bardziej

Nawroty

zrywają się z krawędzi domu
żywe gromady czarne chmury ruchu
przelatują nad parkiem nad placem
i z powrotem lądują na kamienicy

z góry upatrują sobie teren do zawłaszczenia
do zakrycia skrzydłami
wyglądają jak siadająca na dachu śmierć

podobno można przetrwać dwie może trzy inwazje
gdy krawędź staje się mdła
po czerwonych kroplówkach kochałem cię najmocniej

kiedy bez skrzydeł
próbowałaś poderwać się z bezsilności
pokazując mi ptaki i radość powietrza w locie

Kruszenie

kiedy wdychałem chłopięce powietrze
byłem kryształowy
trzymałeś mnie pewnie
unosząc i obracając w jasną stronę
pokazywałeś jak najważniejszy puchar
nagrodę za niewyobrażalną mękę

dziś wyślizguję się
wymykam sam sobie
krusząc żebra dobrym słowom
przeciskam przez gardło złe
wiara w skałę sypie się jak mąka
matowieją błyszczące obietnice

mam odpowiednie towarzystwo
do umierania
potrzebnych jest dwóch złodziei
ten z prawej kradnie najwyższy czas
po lewej zabiera prawdę z oczu

wznoszę zmęczone spojrzenie
niebo ciemnieje przybywa pęknięć
rysują kryształowego chłopca

Boże mój Boże
czemuś mnie upuścił

Wypędzeni z lasu

to właśnie tu przewraca się rozpacz
i tak strasznie płacze
w miejscu gdzie jeden z naszych
uniósł nogą asfalt
wartownicy oddechu – proszą

świadkowie mijającego się powietrza
i strażnicy rowów – błagają
wpół obdarty ze skóry
przy wjeździe na obwodnicę – klęka

niebieski lakier przebarwił mu włókna
potem zielony i srebrny mieszał się z czerwonym
trzy razy w zeszłym miesiącu
gałęzie składały dłonie do modlitwy
by można było uciec

żeby nie być przydrożnym drzewem

Mandat za obronę własną i wołanie o pomoc

na skórze spokojnego snu wytatuowali pasiaki
przywiązali do nogi kulę pełną ciszy

przegrywam kolejne racje
pełen wykroczeń i upokorzeń
oddaję sprawiedliwość

Bogu który powołał czucie słowa
mówię że napisał mnie z błędem
w liryce ginę za niemodny styl
w prawdzie jak w zakładzie karnym
serce o obostrzonym rygorze

tu się nie zapomina
człowieka z łańcuchem
na końcu którego umiera orzeł



Dorota Drzewiecka

Czasami

Jestem tak nieprawdopodobnie młody. Pamiętam ojca zupełnie inaczej.
Wierzę słowom, nawet gdy okazują się kłamliwe. Zasypiam ze świadomością,
że jutro może nie nadejść. Mam ochotę uklęknąć przed tamtą kapliczką.
Odkrywam rzeczy najprostsze. Jestem cierpliwie wyczekujący.
Wprowadzam ze sobą harmider, bezład, nieuporządkowanie. Podróżuję
w swoim szczęściu w sposób nieograniczony. Widzę szlachetność
u wroga. Zapadam w nierzeczywistość, w inny wymiar, nie do pojęcia.

Ciosy

Zafajdane życie. Nasze ścieżki rozbiegły się i pędzą coraz dalej od siebie niczym fale na wodzie. Wielka pomyłka. Idziemy przez miasto bez serca. Wytykamy sobie niedoskonałości. Gorzki śmiech. Jesteśmy mistrzami świata w udoskonalaniu własnych rozczarowań. Rozpadamy się na nieważne kawałki. Balansujemy na skraju nicości i fikcji. Krajobraz dotyka nas: puste obrazy nagiej ziemi o świcie. Jesteśmy żałośni i pozbawieni kolorów, wyprani z ożywczych treści. Mamy siebie dość. niespodziewane wyjazdy, tajemnicze SMS-y, pokrętne tłumaczenia.

Znów

Zanurzamy palce w bladym poranku, miętosimy go, tarmosimy, wyciągamy we wszystkie strony, a potem nasze dłonie formują z niego piękny dzień. Cały świat otwiera się szerzej. Mamy wiele do powiedzenia. Tańczymy tango na łące. Burza hormonów i ta intensywność kochania. Nalewamy tanie wino do plastikowych kubeczków. Powietrze jest gęste od emocji. Nie możemy utrzymać przy sobie rąk, musimy się dotykać. Prześcigamy się w pomysłach. Nasz związek jest jak jazda na rowerze, wsiadamy i pędzimy co tchu. Wygrzewamy się w promieniach słońca niczym zadowolone z życia koty. Leżymy, obserwując przepływające obłoki. Po kolei wymyślamy chmurom różne historie, a one przebierają się przed nami w coraz nowe stroje.

Współczesny Norwid

Nowe wiersze. Tyle wciąż ma do powiedzenia, tyle do darowania.
Silny nadzieją, oczekiwaniem. Gdy pisze, jest bezpieczny. Wyzwolony.
Powraca do lat, które uciekły nie wiadomo gdzie. Trafne zwroty same
się układają. Myśli z szeroko otwartymi oczami. Nie marnuje nawet
snu, jest czujny. Wie, pamięta, rejestruje. Wczoraj napisał wiersz
o dzieciach, co już na swoje poszły. Dziś wpadł na krótko do Ustki.
Przed nim zalotne morze łuszczy się szkliscie, granatowe, wyciszone.

Koniec

Gra pozorów. Uszczypliwość. Kochanie się dla świętego spokoju.
Niepewny związek. Era stagnacji. Dwie bryły lodu. Układ bez miłości.
Powroty do pustego mieszkania. Wszystko i wszyscy działają na nerwy.
Najpiękniejsze kłamstwa. Cisza i brak pomysłów, jak żyć dalej. Mnóstwo
pytań. Wytykanie sobie niedoskonałości. Nieprzespane noce i stres
odciśnięte na twarzy. Bezsilność, bezradność. Cała konstrukcja z kart
rozsypuje się z hukiem. Życie bez sensu. Koło ratunkowe odpływa,
niesione przez fale żalu, złości, agresji. Za dużo ran. Małżeństwo umiera.

Wielki chłód, czyli koniec wszystkiego A. D. 1918

Najtrudniej przyszło położyć na kawiarniany blat gazetę,
Z tą upiorną myślą, że własną dłonią już się jej nie podniesie.
A tam jeszcze drobne anonse (sprzedam składaną wannę),
Rebus dla wymagających, tradycyjne wieści z frontu, które już męczą oczy,
Wreszcie redakcyjny komentarz. Krótki, ale bardzo zręczny i stanowczy.

Kawa. Resztką miniaturowego ciastka. Nawet mucha nie siądzie,
Na resztkę kremu barwiącej ciemnosrebrny żal widelczyka.
Parę lat temu takie były modne, secesja - ale tanim kosztem,
Proste motywy kwiatów, gracia giętych linii. Filiżanka i talerzyk skromne.
Podpisane Victoria Carlsbad. Delikatnie to brzmi, jak modlitwa albo struna cytry.

Ciężka szpila w krawacie, to jedno co lśni w tak koszmarnym dniu.
Elegancki mężczyzna już wie, że ta gazeta, kawa, łyżeczka należą do świata tak umarłego,
Jak etruskie grobowce, i książki, w których czytał o Helmholtzu i teorii wielkiego chłodu.
Nie będzie już takich chmur nad Ringiem, ani krawca przy Himmelpfortgasse.
Jak można w takim czasie wierzyć w Boga - myśli nawet bluźnierczo.

Kiedy znika struktura, której korzeń - niczym pazur więdźmy - dosięga Rzymu,
W którym cesarz i papież do spółki zarządzali światem,
Trudno oczekiwać, że kawa, jego ostatni list albo gazeta jeszcze kogoś obejdzie. To będzie
raczej element
Muzealnej wystawy za kilka stuleci. A dziś wszyscy pieszczą w ustach pytania, których nie
warto było zadawać

Jeszcze kilka miesięcy temu. I odpowiadają na te, których nikt nie zadał.
Tak, rewolwer ciąży ostatecznie w kieszeni płaszcza, ale tę chwilę można się przemęczyć.

Kolejna odpowiedź na pytanie o prawdę

cały świat sprowadzić do małej leniwej igielki
która wskazuje sejsmiczne drgania tętna
albo do kombinacji cyfr w arkuszu kalkulacyjnym
tak prostej że pojmie nawet dziecko
oto mistrzostwo kondensacji
godne mnichów Zen
albo benedyktynów z górskiego klasztoru
którzy zjedli życie nad talerzami świętych ksiąg

pełna prawda mieści się właśnie w tej dobrze wykaligrafowanej literze
w ostatniej kropce poematu naiwnego i bez treści
wydobyć ją na słońce to jak rozbić jajko
prawda wprawdzie będzie
ale skorupki już się nie poskłada

Iter romanum

*Nikolaj, co w ojczyźnie jeszcze cierpiał siła,
Był męczony od febry przez całe bezdroże;
Gdy mu wewnątrz gorączka sroga przepaliła,
Legł tutaj niespodzianie na śmiertelne łożo.
„Podróż do Rzymu w roku 1622” w przekładzie Władysława Syrokomli*

Nie ma taniości podróźnej, turystycznej
W namiętnym okrzyku „O witaj mi, Rzymie!”
Chociaż czuje się nieco dyletanckiego entuzjazmu
Właściwego czasom bez nadmiaru drukowanych obrazów

Człowiek tamtejszy dotyka ciepła nieba wyłącznie
Własną ręką i doświadcza wody wrażeń smakiem
A nie bogatymi leksykonami i ekranami z płynnego kryształu

Cała szczerść podróży może wydawać się jedynie
Sztafażem dla namiętnego przyjacielskiego nekrologu
Doprawdy wyborby to efekt poetycki
Ta śmierć przyjaciela przemijającego jak rzymskie ruiny

My dzisiaj nie szukamy takiej prawdy w poezji
Wypatrujemy tylko drugiego dna efektu
To już kalectwo które trapi nasze czasy

Mówię stój

zaczynać wędrówkę
bez torby nadziei
i czapki namiętnych pożegnań
bez teleskopu tęsknoty
i mapy z zaznaczonymi
punktami oddawania krwi
za bliskich i ojczyznę
zupełnie nie warto

kończyć ją bez słowa
choćby jednego
wdzięcznego
od poznanych współwędrowców
nie warto tym bardziej

jedno co warto
gdy nie ma się naprawdę mocnego
moralnego imperatywu
to stać
trwać
modlić się o rychłą śmierć
nie zagoni się człowiek
a trafi

Impresja tischnerowska

Cierpliwi przewodnicy powiedzą każdemu,
że w Gorcach szlaki dla miejskich turystów,
to zarazem codzienne ścieżki podgórskich ludzi.
Ich drogi do pól, łąk, ładnie utrzymanych cmentarzy.

Z tego urodzi się pewnie w co wrażliwszych głowach
naiwna myśl - jak się to poetycznie układa.

Ale gdy zdjąć nieszczęsne okulary cikliwości,
prosta ścieżka przemierzana przez różnych wędrowców
jest jak odmiana porządku, który każdy widzi inaczej,
nawet jeśli tak naprawdę to tylko zwyczajna górską drogą,
górska śleboda i nauka niełatwa do pojęcia.

Taniec wierzyby zgarbionej u źródła

Wiatr, tłoczone w mosiądzu liście. Chłopczyk
podziwia rysunek, staje na palcach, próbuje dotknąć
wahadła ściennego zegara, które kołysze minuty

o zmierzchu, chłodny burgund nieba kaleczy do głębi
lustro wody, jakby w toni rozlewał się skrzep.
To gra światła przed nocą? Złudzenie, aż do utraty,

lato ucieka boso przez rżysko, potyka się,
połyka oddech. Zastyga w pajęczych nitkach, pośród
bocianich sejmików na płowiejących łąkach,

jeszcze widzi przez mgłę rdzawą wieś. Dogasa
na kartofliskach. Pełne sady niebawem zaszeleszczą
w żółciach, czerwieniach, póki jesienne szarugi nie spiorą

kolorów na brudną biel – to ciepły grudzień skulony
w cieniu murów, jakby nie chciał się stopić jak księżyc.
Nie milknie szczekot psów, miesiąc poci się, w kroplach

chłopczyk ogląda małe światy. Przykuca, zasypia.

Czysty śnieg

Półmrok, ptaki wśród zarośli. Słyszać kroki, za oknem
pokrytym bielmem, za żrenicą światła między zasłonami
o cienkie szkło uderza serce, po raz ostatni,
dwunasty. Od północy utyka styczeń w samotnej,

kulawej wędrówce godzin; za oknem daleki
pomruk burzy? sylwestrowych feerii? Albo złomiarz
toczy swój wózek przez uśpione łąki,

i wszystko to jest powidokiem zimowego deszczu:
tarcie kropel o cienkie jak papier niebo, urwane
pluszcze strużkami. Czas moknie; tonąc, nie może

uchwycić się cieczy. *Cyk, cyk, cyk*, ślizga się po krawędzi dźwięku
chłopczyk z sankami. *Kiedy zaczniemy biały tydzień?*

*Zegar wysysa szpik z dorzeczy dni – przeczuwa trzylatek,
otwiera oczy. Śpij, śpij, on tylko nosi jutro niczym płód.
Nad ranem odejdą wody, urodzi czysty śnieg.*

Pamięć drewna. Gustav Becker 1982

Sypkie światło świtu, żarna wiatraków mielących ciemną noc roku '39, gdy babcia żegnała pierwszego męża, któremu Cyganka przepowiadała: *Zostaniesz w rządowym domu* –

i pękła sprężyna od bicia godzin; datę wyrytą na plecach zegara znam tak dobrze, jak opowieść o letniej niedzieli, gdzie tato spotyka mamę, w jej włosach dojrzewa zboże,

migoczące słońca. Wszędzie słońca, złote wahadła, nawet deszczową porą, kiedy godziny nie chciały już schnąć na secesyjnych wskazówkach. Miętko tykały krople życia,

zmieniały się w pierwszy śnieg, śnieżne tunele, zimę stulecia roku '79, później w szelest kartek – na czekoladę ukrytą za koroną Gustava Beckera. W tym wszystkim ja, niezdarne

dziecko na fali powietrza, wirujące kostki słodczy i ptak oderwany z korony – dygotał na tle tapet, przez chwilę kołował po pokoju, nim spadł, nim na proszek pękło mu ciało –

widzę, jak tato cierpliwie odtwarza je w pamięci drewna. Jeszcze dopala się popołudnie, rozproszony lipiec wlewa się przez okna.

Rysa na porcelanie. Gustav Becker 1903

Pamięć dni – mrówek, które przenoszą czas, biegną
po sprężynkach, kółkach zębatych, maleńkich orbitach.
Tato, patrz, dziś jest ta sama godzina, co na zdjęciu!
Pożółkła fotografia sprzed pierwszej wojny – pradziadek
pod zegarem w jasnej kamizelce, obok jego mały

brat Staś, blondynek bardzo podobny do mnie ze zdjęcia
z pierwszej komunii. Przed Bożym Narodzeniem zrobił
kluczykiem rysę na cyferblacie i wtedy wyciekło inne,
rozaśniło grudniową noc, a krzyk pulsujący i dziki biegł
po płonącej ścianie lasu, nim wskoczył w ogień.

Chcę wierzyć, że Staś przemknął na drugą stronę – i było tak,
jak marzył – płynął na małym statku przez wzburzony ocean.
Może w świerkowe wzgórza chłodnego Maine? Albo
na poorane paznokciami deszczu wybrzeża wilgotnej, upalnej
Florydy? Płynął w swoje dzieci, wnuki, których pewnie

nie poznam. W prawdziwe życie, tak jak tu, dzień i noc,
i znowu noc i dzień, przez pokruszone, lekkie światło świtu.

Portrety

1897 - 2017

Sierpnie, wyciskane z dojrzałych wiśni
padają w miskę z mlekiem. Poparzona biel
chmur. Przed snem sierp w płótnie nieba, w pościeli

samotnie liczyłem krople soku z wiśni. Gęstniało
minuta za minutą, a świat się nie zmieniał w tym czasie,
wiem na pewno. Stał obok niemy

jak stary film, gdy czytałem: *Co pięć sekund*
umiera z głodu dziecko. Zabawa w chowanego? Coś stąpa
po chruście, w krzakach jaśminu. Musiało być już

dawniej. *To coś, co zabiera, pozostawia ślady, nie może*
pozbyć się ciała – pradiadek ubiera jednego z bliźniaków,
sadza obu objętych na sofie. Jest fotografem chłodu

z wiktoriańskich portretów pośmiertnych. Który z chłopców
zostawi zimne miejsce? Który ma narysowane źrenice
na zamkniętych powiekach z widokiem do wewnątrz? Drzewa

bezzistne, wypalone mrozem. A może skwar pełni lata, droga
na plażę. Tu zawrócę. Na tle wydym robię selfie smartfonem.
Bo my umiemy chować ciała. W lodówkach. Za drzwiami

umiemy szeptać przy zgaszonym świetle, że umierającym
godzi się kłamać. Umiemy kłamać, że później już nie,
można tylko przygarnąć, oswoić.

Ogonek po czas

Z cyklu: Kolejki polskie

Kolejka do biura Powiatowego Urzędu Pracy myśli o dobrej robocie w miasteczkach rozoranych przez cwaniaczków do jałowej ziemi efektami transformacji ustrojowo- gospodarczej. Młodym kobietom (Te

czterdzieści pięć plus nie mają już takiej wydajności.) najczęściej oferuje się pracę w Biedronce z pamperssem między udami. Z co drugą pracującą niedzielą, w czasie której chodzić by mogły na rodzinne spacery po sumie.

Mężczyźni zazwyczaj znajdują pracę w ochronie. Za pięć złotych na godzinę. Pilnują tego czego jeszcze nie udało się rozkraść po przemianach, by zarobić połowę średniej krajowej pracować muszą dwa miesiące w miesiącu.

A jeszcze trzydzieści pięć lat temu wszyscy walczyli o wolne soboty.

1 III 2017

Ogonek po przetrwanie

Z cyklu: Kolejki polskie

Kolejka do lombardu przed dziesiątym
zastawia oczekiwania na lepszą przyszłość.
Przedwojenny zegarek z dewizką po dziadku
i srebrny komplet sztućców otrzymany przez

rodziców w ślubnym prezencie. Gadżety
i różnorakie nowalijki techniczne z górnej
półki z dnia na dzień tracące na wartości
(one zazwyczaj nigdy nie są wykupywane),

nabyte przed zamknięciem największej
w mieście fabryki i złotą obrączkę ślubną
z wygrawerowanym imieniem męża, który
przed rokiem zaraz po zamknięciu fabryki

wyjechał za chlebem do Norwegii i już od
jedenastu miesięcy nie daje znaku życia.

27 IV 2015

Ogonek po zdrowie

Z cyklu: Kolejki polskie

Kolejka do apteki na przełomie listopada i grudnia zaraża się grypą troskami dnia codziennego. Radzi do którego chodzić lekarza i jakie leki działają najskuteczniej.

Namawia lub odradza do szczepienia oraz radzi jakie leki zastąpić ziołami, czy miodem lub przekonuje do medycyny naturalnej.

Przelicza ostatnie pieniądze, które mają wystarczyć do dziesiątego i co jeszcze za resztę może kupić w Biedronce, by w lodówce nie pozostało jedynie światło.

Powolnym krokiem rozchodzi się w stronę domów, gdzie zazwyczaj rozmawiać już może jedynie z telewizorem.

21 X 2015

Ogonek po doping

Z cyklu: Kolejki polskie

Kolejka do zaparzenia porannej kawy na oddziale zamkniętym. Czeki i człapie o czwartej nad ranem. Nabija puste, jałowe kilometry korytarza. Pomiędzy ścianą a ścianą. Układa rzędem kubki i czeka na

siódmą, o której zazwyczaj przychodzą panie z kuchni, by za jakieś pół godziny włączyć elektryczne czajniki. Zamulona lekami czeka na aromatyczną, płynną energię. Przepycha się obok postawionego przed quasi szynkwasem,

który oddziela kuchnię od świetlicy stołem. Niekiedy obleje się gorącą kawą lub zawartością czajnika. W pośpiechu rozsypuje cukier (czasami zdarza się jej pomylić go z solą). Następnie szybko biegnie wprost

do palarni mieszczącej się w męskiej toalecie. Myśli i czeka aż sączona czarna moc rozjaśni jej poranne

czarne myśli.

15 III 2017

Ogonek po fortunę

Z cyklu: Kolejki polskie

Kolejka do kolektury Lotto w dniu kumulacji marzy o wielkiej wygranej, za którą spłaci długi w bankach, kupi nowy samochód, wybuduje wielki dom i spełni wszelkie zachciewajki. Amatorzy zazwyczaj grają

na chybił trafił. Zdają się na łaskę losu. Zawodowcy od lat opracowują strategie i systemy. Niektórzy radzą się wrózek i astrologów z nadzieją, że uda im się trafić sześć szczęśliwych cyfr.. Wieczorem w czasie transmisji

na żywo obgryza paznokcie i pali podły tytoń, a po niej sięga po portfel, liczy bilon i modli się, by starczyło go przynajmniej na kilka kuponów w następnym wielkim rozdaniu Fortuny. Zapomina o tym, że ponoć pieniądze

szczęścia nie dają.

30 V 2017

Janusz Solarz

Wyróżnienie

Stowarzyszenia

Bibliotekarzy Polskich

Oddział w Płocku

Constans

Na tym zdjęciu jest czarno-żółtym lamparciątkiem,
trzyma za rękę łosia, w tle widać biedronkę.
W tej procesji zwierzątek nic nie jest zwierzęce
oprócz kundla na smyczy, którą w drugiej ręce
trzyma trzyletni kociak. Idą przez miasteczko
w stronę lodziarni, która dla nich jest ucieczką
przed natrętnością gapiów i przed lepką mżawką.
Każdy zna tu każdego, obcych widać rzadko.
Jest bezpiecznie, spokojnie, a to że jest nudno
dopiero za lat tuzin będzie znosić trudno.
Czas nie słucha zegarów, powraca na tarczy
natarczywy, przegrany, choć wie, że wystarczy
minut, aby dojrzała większość z tych zwierzaków
i uciekła w dorosłość. W miasteczku ich braku
prawie nikt nie dostrzeże, młodsze dzieci gwarnie
w beztroskiej komitywie wypełnią lodziarnię.

Lotna

Ta wspaniała swoboda gdy lecisz w powietrzu
i na świat patrzysz z góry, a ziemia jak pieprzu
ziarenko pośród innych ziarenek w kosmosie
i gwiazdy jak świetlików narkotyczny posiew.
Tyle tylko, że ona wzniosła się dość nisko,
jedno salto, piruet, upadek, to wszystko.
Potem leżała chwilę z kopytem przy skroni,
a nad nią rzenie konia; drzenie moich dłoni
nie mogło w niczym pomóc, nie mogło zaszkodzić,
tak bywa, że się na nic nie przydaje rodzic.
Ona już nigdy więcej nie wsiądzie na konia,
nie pogłaszcze kucyka, nie pójdzie na błonia
na pokaz wołyżerki. Nie jest bita w ciemię:
pamięta, że wróciła z kosmosu na ziemię.

Pokolenie

Gromadka budowniczych wznosi zamki z piasku,
słońce hojnie dodaje tym budowlom blasku.
Baszty, mury, dziedzińce, piramidy, fosa:
cesarstwo rośnie w oczach. Mały Barbarossa
mówi, „To moje miasto”, a wspólnicy milczą,
jeden łzy powstrzymuje, drugi z miną wilczą
rzuca łopatką w wieżę, trzeci twarz wykrzywia.
Morze też tym zakusom w końcu się sprzeciwia,
gdy śle do brzegu przyptyw i po chwili fale
równają połąć piachu tak jakby tam wcale
nie było żadnych zamków ani żadnych dzieci,
a słońce miłosiernie coraz słabiej świeci.
Przez noc dzieci zapomną podłoże niesnasek,
na plaży będzie czekać na nie świeży piasek.
Być może coś zbudują, być może coś zburzą;
fale tak czy inaczej nigdy się nie znużą.

Nóż w wodzie

Piasek parzył nas w stopy, woda jak lód zimna,
na lewo wieloryby, a na prawo wydma,
która tak jak kaszalot ponad linią wody
wyłania się powoli. Pusto. Antypody
są miejscem nie do wiary; jak niewierny Tomasz
wkładam palce do piasku i nagle pozioma
cięciwa horyzontu jest ukośną granią,
a wieloryb się wspina powolutku na nią
jak parowy liniowiec, choć z jego komina
zamiast pary fontanna powietrze rozcina.
„Tato, proszę, włóż czapkę, słońce tak dziś pali”,
poprosiła, gdy dotarł do plaży grzbiet fali
większej od tych bałwanów, które wcześniej z hukiem
rzeźbiły linię brzegu. Nie była już łukiem
tasiemka widnokręgu. Rachunek był prosty,
wieloryby zniknęły, śliskie wodorosty
łączyły wodę z lądem. Horyzont się chmurzył,
musieliśmy zawrócić przed nadejściem burzy.

Lekcja martwego języka

Prędzej czy później w głowie każdemu zaświta,
że przyjdą pożegnania, po których powitań
nie będzie można wpisać w kronikach wydarzeń,
bo jak gumką śmierć kogoś z kart życia wymaże,
tu i tam zostawiając rzędy luk i spacji,
nie dając żadnym słowom szansy restauracji.
Mówi mi w odwiedzinach: „Ja chcę żyć inaczej”,
A ja wiem, o czym myśli, gdy na siebie patrzę.
Jestem sam, w obcym miejscu, bez wiernych przyjaciół,
tak jakbym samotnością za marzenia płacił.
Ciągle jednak mam kogo witać albo żegnać,
a ona, już dorosła, wciąż moja królewna,
pomaga mi zrozumieć wagę przebaczenia
w mojej drodze niechybnej w stronę smugi cienia.
Gdy ją żegnam przed lotem, chcę wierzyć, że nie wie,
jak bardzo się starałem nie żegnać jej w gniewie.



Piotr Statkiewicz

Miłosz Kamil Manasterski

*Wyróżnienie za wiersz
o tematyce plockiej*

GENIUS LOCI

Miasto żyje wieczorem
Jak na płótnach van Gogha
W nocnej kawiarni kelner
Czyta wiersze z menu

Przechodzimy ostrożne
Od Bailley'a do Bolls'a
Pędzi północ przez Grodzką
A nam spać się nie śni

Twoje usta czerwienią nabiegły w to lato
Jasna zębów twych nagość wywołuje mój dreszcz
Jednoznacznie zabójcza kończysz affogatto
Rozkochując to miasto

I niestety mnie też

Zbrodnia czai się w mroku
Popatrz na stary Płock
Zginą całe kwartały umrą kamienice

Niepotrzebny tu Poirot
Kojak ani Sherlock

Jeśli jutro wyjedziesz
Zniknie stąd całe życie

PŁOCKIE ULICE

Gdybyś zabłądziła ze mną w Płocku
Może gdzieś przy Synagogałnej
Mógłbym cię pocałować
Majową nocą
Bez wstępów
I bardzo zachłannie

Gdybyś dała się prowadzić za rękę
Przez Stary Rynek do Domu Darmstadt
Byłbym pewien że ci przysięgnę
Że nie będzie już między nami kłamstwa

Może bym kupił ci kwiatka na Kwiatka
Może pilibyśmy kawę na Grodzkiej

Ty patrzyłabyś na mnie jak amantka
A ja wiersze bym pisał
O tobie

Ale to nie takie proste jak płockie ulice
Ta cała miłość szczęście i życie

Leszek Jaraczewski

*Nagroda Dyrektora Książnicy Płockiej
w kategorii limeryku*

Syn nomadów gdzieś na Saharze
miał nostalgii, tak jakby w nadmiarze.
„Przyczyną jakaś nomadka?”
- pyta matka. „Co ty matka!
W tym żarze marzę o browarze!”

Mistrz boksu z Bronx, co nigdy nie był vice
kryje przed światem wielką tajemnicę:
Niebywale strach w nim wzbiera
gdy widzi mordę ratlera!
A nie boksera – to robi różnicę!

Ogólnie znany lekkoduch w Odessie
zawrócił w głowie pewnej baronessie.
Tak odparł, na kwestię drażliwą
- kiedy ją uczyni szczęśliwą?
„Jak zęby wstawi i tłuszcze odessie!”

Kiedys pewien turysta w Belize
wyjeżdżając, zostawił Elizę.
Gdy ktoś nieszczęsną cucił,
on „Przy powrocie – rzucił –
mam dewizę: biorę tylko walizę!”

Taj – wyzwolona słonica w Dżajpurze
wieczorami lubi tańczyć na rurze.
Choć obce jej tajemnice
pląsów, ma braki w technice,
to nic nie można zarzucić figurze!

OGŁĘDZINY ZWŁOK II

Wiek około 17 lat
wzrost 160 centymetrów
postać wątła wysmukła
włosy gęste wijące się ciemne
twarz blada podłużna czoło wysokie
oczy piwne usta małe
brak jednego zęba
broda wąska ręce drobne
koło lewego ucha operowana

Data wykonania wyroku 28 sierpnia 46 godzina 6.15
w obecności księdza Mariana Prusaka
po myśli artykułu 314

Córka Wacława
urodzona 3 września 1928 roku

Skazana w trybie doraźnym za przestępstwo
z artykułu 88

Prezydent Krajowej Rady Narodowej
z prawa łaski nie skorzystał

Jeszcze nie wiemy gdzie ją pochowamy

INKA. GRYPY JAKIEGO NIE BYŁO.

Babciu bardziej od wyrwanych paznokci
boli mnie to że nie zostanę matką
a chciałabym na wietrze fruwać między rozwieszonymi pieluchami
być szybowcem i słyszeć śmiech wywołany łaskotaniem traw

ciuć grosz do grosza i kupić konia na biegunach
by syn pogalopował na twoje kolana
umorusał twarz kromką chleba ze śmietaną i cukrem
wyciągnął ręce do rogatywki dziadka

dzisiaj znów bili mocno i wyzywali od kurew

a mi przed oczyma majaczył ołtarz i kobieta w bieli
której syn obiecał że jej nie opuści aż do śmierci
gołębie spłoszone okrzykami *gorzko gorzko*
długo wracały by jeść mi z ręki

babciu to nie wybite zęby budzą bezsenne noce
tylko świadomość że syn nigdy
nie spełni mojego ostatniego marzenia
i nie pochowa w łososiowej sukience

Rejs

Małe drewniane łodzie płyną do Europy,
kiedy idziemy na wódkę w sobotnie wieczory.
Te są wreszcie ciepłe, długie i upojne.

Małe drewniane łodzie płyną do Europy,
spotkani Ukraińcy kojarzą Matejkę,
ale nazwiska Wałęsa nigdy nie słyszeli.

Małe drewniane łodzie płyną do Europy,
kiedy siadamy na leżakach po średnim koncercie
z lekkim piwem w dłoni (kładziemy je na ziemię).

Małe drewniane łodzie płyną do Europy,
kiedy ktoś urywa klamkę w toalecie.
Obsługa lokalu nie umie jej przykręcić.

Popłynęlibyśmy gdzieś latem, na czyste akweny,
kiedy małe drewniane łodzie popłyną do Europy,
tymczasem budzi się dzień, a my z nim, na kacu.

Ci pobożniejsi, odświętni - szturmują kościoły,
kto nie świętuje z nami, ten jest terrorystą.
Małe przepelnione łodzie topią się po drodze.

Blues dnia i nocy

Płock. Jasny jak dźwięk ustnej harmonijki. Pudruje twoje myśli przyjemnym brzmieniem. Barwi widokówkę pamięci pastelowymi fasadami kamienic, światełkami fontanny. Szepcze o krętych drogach, starych schodach i bramach. Miodowy świt, błękitny zachód.

Palmy latarni i piasek chodników, niskie domki z małymi drzwiami. Ogródki kawiarni głaskane wiatrem od oceanu Wisły. Zapomnij o wszystkim, co cię bolało. Ciepło odpężające dotyka cię łagodnie. Wieczorem usiądź z gitarą na ławce Wacława Milkego. Chociaż raz bez słów opowiadaj. Muzyką wyznaj usypiającemu miastu swoje życie.

Pochwała dawnych czasów

Dawniej wszystko było
uporządkowane.

Bóg miał swoje miejsce
wysoko na niebie.

Słońce patrzyło z góry
okiem gospodarza.

Drzewa i pory roku
znały się na zegarze.

Miłość wybuchała jak pożar.

Grzyby rosły po deszczu,
bociany przynosiły dzieci.

A dzisiaj?
Szkoda gadać.

Niebo jest puste
jak wyschnięta studnia.

Samotny księżyc
cierpi na bezsenność.

Nikt nie umiera z miłości.

Słownik bezbożnik
ukryty w zaroślach
gwizdże na wszystko.

Wisła w Płocku

jest kobietą w wieku balzakowskim
świadomą siebie
energiczną i zdecydowaną
spełnioną na wszystkich płaszczyznach
pełną elegancji a jednocześnie uwodzicielską
bardzo zmysłową, która zna uroki życia
a przede wszystkim wie, że zachwyca

moło eksponuje jej talię
podkreśloną niedbale mostami

głęboki wyrazisty kolor
harmonizuje ze skarpą, katedrą i zamkiem

Wiersze

Zapamiętane ze szkoły „przerabianie” wierszy –
z obcego na nasze. Tak jakby potrzebne były przeróbki
u krawcowej naprawdę zjawiskowych kreacji – ich ułudy.
Tak bardzo tego nie lubiliśmy, nie lubiliśmy też wierszy.

Dlatego ci, co nigdy nie dorośli, nie czytają poezji.
Choć nierzadko ją piszą, by zaznać „odświeżności” mowy.
Usakralizować własne istnienie, albo je zbezcześcić.
Co wychodzi na to samo, bo bezcześci się jedynie święte.

Wiersze – tak naprawdę niepotrzebne, a niezbędne,
by poruszyć naszą ścieżkę we wszechświecie, zmarszczkę czasu.

Potrzeba nam pokory, by nauczyć się czytać wiersze,
określić siebie wobec piękna, które zaistniało
poza nami. Stanąć wobec prawdy z nienasyconym
głodem jej poznania.

I odczuć swoje człowieczeństwo – wiatr, który unosi je
jak pyłek, jak nasionko przyszłych istnień.

Modlitwa introligatorska albo strefa spa

Mistrz Drobnych Tłoków
Mistrz Główek Anielskich
składam stopy
do prośby o najprostsze:
dach deszcz chleb
łuskę ryżu
którym tak długo
żywił się Budda
pod drzewem dni
czy figowce pagodowe
dają dużo cienia?
oświecenie współczesnych joginek
w saunie infrared
wannie jacuzzi
samonośnej bieliźnie
pot wypłukuje nawet metale ciężkie
ołów kłótni i nocy bez snów
nirwana na podczerwień
samsara w sanarium
chorały gregoriańskie
na słonecznej łączce
z kłoszami z diamentów
co tłumią promienie UVB
Mistrzowie
oprawcie mnie wreszcie
w moją własną skórę

Artur Rubinstein koncertuje w Teatrze Wielkim w Łodzi

*30.05.1975 – jubileusz 60-lecia
Orkiestry Symfonicznej w Łodzi*

Fryderyku, znów śnię się twojemu duchowi,
dlatego mnie nawiedza. Okrążam noc i dzień;
blade świty nad Nerem, różowe, poczęte.
Jestem blisko zakończeń nerwowych, w pobliżu

mięśnia serca. A warstwy dni ostatnio ostre
niczym dłuto. Uciskam ponętne nadbrzusze
Steinberga. Znów wybrzmiewa *Koncert f-moll opus
dwudzieste pierwsze*. Pewnie już wiesz, nie istnieją

rzeczy poziome, wszystko jest zachwianym pionem.
Nawet klawisze tworzą mimowolne ciągi,
arytmiczne elizje, biało-czarne wiązki

strun ciskanych w powietrze, w rzeźby na Piotrkowskiej
podziwiane przez gapiów. Raczysz zapamiętać,
przechodniu? Teraz zagram swój ostatni koncert.

SPIS TREŚCI

Wstęp	5
Edyta Wysocka – I Nagroda Prezydenta Miasta Płocka „Liść Dębu”	11
1950. Maki	
1950. Igraszki	
1950. Jowita	
1950. Sławek	
1950. Pakulica	
Piotr Augustyniak – fotografia	17
Tadeusz Hutkowski – II nagroda	19
14 sierpnia	
Nawroty	
Kruszenie	
Wypędzeni z lasu	
Mandat za obronę własną i wołanie o pomoc	
Dorota Drzewiecka – fotografia	25
Grzegorz Chwieduk – III nagroda	27
Czasami	
Ciosy	
Znów	
Współczesny Norwid	
Koniec	
Jakub Bogucki – wyróżnienie	32
Wielki chłód, czyli koniec wszystkiego A. D. 1918	
Kolejna odpowiedź na pytanie o prawdę	
Iter romanum	
Mówię stój	
Impresja tischnerowska	
Wojciech Roszkowski – wyróżnienie	38
Taniec wierzy zgarbionej u źródła	
Czysty śnieg	
Pamięć drewna. Gustav Becker 1982	
Rysa na porcelanie. Gustav Becker 1903	
Portrety	

Adam Bolesław Wierzbicki – wyróżnienie	43
<i>Ogonek po czas</i>	
<i>Ogonek po przetrwanie</i>	
<i>Ogonek po zdrowie</i>	
<i>Ogonek po doping</i>	
<i>Ogonek po fortunę</i>	
Janusz Solarz – Wyróżnienie Stowarzyszenia Bibliotekarzy Polskich Oddział w Płocku	48
<i>Constans</i>	
<i>Lotna</i>	
<i>Pokolenie</i>	
<i>Nóż w wodzie</i>	
<i>Lekcja martwego języka</i>	
Piotr Statkiewicz – fotografia	53
Miłosz Kamil Manasterski – Wyróżnienie za wiersz o tematyce płockiej	55
<i>GENIUS LOCI</i>	
<i>PŁOCKIE ULICE</i>	
Leszek Jaraczewski – Nagroda Dyrektora Książnicy Płockiej w kategorii limeryku	57
Jerzy Fryckowski	59
<i>OGŁĘDZINY ZWŁOK II</i>	
<i>INKA. GRYPS JAKIEGO NIE BYŁO</i>	
Karol Graczyk	61
<i>Rejs</i>	
Anna Maria Kobylińska	62
<i>Blues dnia i nocy</i>	
Janusz Koryl	63
<i>Pochwała dawnych czasów</i>	
Antonina Sebesta	65
<i>Wisła w Płocku</i>	
Irena Słomińska	66
<i>Wiersze</i>	
Agata Wesołowska	67
<i>Modlitwa introligatorska albo strefa spa</i>	
Ewa Włodarska	68
<i>Artur Rubinstein koncertuje w Teatrze Wielkim w Łodzi</i>	

